

**Andrzej Wielocha**

## Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku

Komisja Wydawnicza SKPB zorganizowała w okresie od 14 do 29 sierpnia 1989 roku wycieczkę turystyczno-krajoznawczą w Gorgany i Czarnohorę. Kierownikiem wycieczki był Adam Kulewski, uczestnikami Irena Charysz, Roman Werdon, Piotr Michnoł, Piotr Janko, Józef Wróblewski, Paweł Luboński, Juliusz Marszałek, Zygmunt Rykiert, Mariusz Birski i autor niniejszego sprawozdania. Zaopatrzeni w sprzęt biwakowy, przedwojenne mapy WIG 1:100 000 (tzw. setki), kopię przewodnika Gąsiorowskiego oraz wikt na całe dwa tygodnie wyruszyliśmy pociągiem do Przemyśla. Granicę przejechaliśmy autobusem relacji Przemyśl – Lwów. Ze Lwowa zaś nocnym pociągiem z przesiadką w Kołomyi dotarliśmy do Tatarowa.

dzień 1

15.08.1989

Do Tatarowa przyjeżdżamy około godziny 9 rano. Stylowa, mocno jednak zaniedbana stacja kolejowa staje się w krótkim czasie naszym magazynem, bowiem przepakowujemy żywność.

Tu na dworcu zostawimy 2/3 zapasów w depozycie na drugą część naszej wędrówki. Depozyt zajmuje znaczną część dworcowej kasy biletowej, ale wyrozumiała pani kasjerka zdaje się tego nie zauważać. Nasze plecaki natomiast zdecydowanie straciły na wadze. W trakcie przepakowania robimy krótki przegląd okolicy. W centrum Tatarowa, a właściwie Kremenców, bo tak brzmi oficjalna nazwa miejscowości (Tatarów to obecnie tylko stacja kolejowa) odnajdujemy malowniczą cerkiewkę i kilka willi, pozostałość przedwojennego letniska. Zadbana, kryta gontem cerkiewka wraz ze stojącą obok dzwonicą i otaczającym je cmentarzem tworzy bardzo malowniczą całość.

Wreszcie koniec przepakowań – ruszamy. Idziemy drogą w kierunku na Jabłonów. Przekraczamy wiadukt nad torami kolejowymi, które wzdłuż Prutu bieżą dalej do Worochty. Za zabudowaniami nadleśnictwa, już w dolinie Prutca Jabłoniczkiego, odnajdujemy odchodzący w prawo od szosy, stromym trawersem w górę, stary płaj (oznaczony na WIG-owskiej setce – „Mikuliczyn”). Płajem tym, kilkoma długimi zakosami wychodzimy na grzbiet Baszczyнки. Tu pozostawiamy go i ruszamy wprost grzbietem. Zanikającą co chwila ścieżynką, miejscami w gęstym lesie, miejscami po pojawiającym się coraz częściej gorganie, docieramy wreszcie na szczyt Hrebli (1256 m). Po dwóch nocach spędzonych w pociągach zmęczenie daje się mocno we znaki. Jednak świadomość, że wszystkie problemy są już za nami, i że wreszcie jesteśmy w górach, dodaje sił. Długi wąski, grzbiet Hrebli nie oferuje zbyt rozległych widoków, daje jednak oryginalny wgląd w przewijające się u jej podnóża doliny Prutu i Zeńca. W wielu miejscach grzbiet porastają grupy młodych limb.

Idziemy dalej w kierunku widocznego przed nami jak na dłoni stożka Chomiaka (1540 m). Na szczyt jednak nie wchodzimy. Tuż poniżej granicy lasu, na skraju połoniny Baranie spotykamy podchodzącą z lewej strony z doliny potoku Weregimskiego drogę, która trawersując kopułę szczytową Chomiaka wyprowadza nas na Połoninę Chomiaków. Zajmuje ona rozległe siodło między Chomiakiem a Siniakiem. Porośnięta wysoką, niespasioną trawą, jest wymarzonym miejscem na biwak. Spotykamy tu biwakujących turystów ukraińskich z Tarnopola i Czerniowców. Studenci z Uniwersytetu Czerniowieckiego wędrują podobną do

naszej trasą, mają zamiar między innymi przejść grzbiet Czarnohory od Howerli po Pop Iwana. Rozmawiamy o sytuacji na Ukrainie i o sprawach polsko-ukraińskich. Na pożegnanie przypinają mi do plecaka znaczek swojego klubu i żółtoniebieską wstążkę. Życzymy im powodzenia w bliższych i dalszych planach.

Na południe od połoniny Chomiaków odnajdujemy oddzieloną od niej wąskim pasem lasu polaną z fundamentami przedwojennego schroniska PTT. Nosiło ono imię Mieczysława Orłowicza.

## dzień 2

16.08.1989

Rano szybki wypad na szczyt Chomiaka i ruszamy w dalszą drogę. Najpierw marsz po kolana w trawie przez całą długość połoniny Chomiaków. Na jej skraju wchodzimy w piękny smrekowy las, by przez dwie niewielkie kulminacje wyjść ponad jego granicę w królestwo kosówki i gorganu. Grzbiet Siniaka, rozległy i płaski, z bliska w niczym nie przypomina znanej z przedwojennych pocztówek strzelistej piramidy. Gdyby nie niewielki triangul, trudno byłoby odnaleźć właściwy wierzchołek Siniaka (1666 m), ukryty pomiędzy ogromnymi polami kosówki i porytego transejami gorganu. Widok rozległy, jednak mała przejrzystość powietrza ogranicza go do najbliższego otoczenia. Na północnywschód rozległy wał Jawornika, na zachód imponująca grupa Doboszanki, na południu za łagodnymi grzbietami Douhej i Płaski rysuje się dominujący nad nimi grzbiet Czarnej Połoniny. Na południowym zachodzie majaczą w dali wierzchołki Pietrosa i Howerli.

Grzbiet Siniaka w kierunku zachodnim opada na niewielką przełęcz, by ponownie wystrzelić w górę idealną piramidą Małego Gorganu (1600 m). Jego stoki opadające na wszystkie strony pod jednakowym, bardzo ostrym kątem, pokryte są w całości ruchomymi głazami gorganu. Nic więc dziwnego, że u niektórych z nas pojawiła się wątpliwość, czy z tego da się w ogóle zejść. Jednak się dało. Mocno spoceni, z powykręcanyimi w kostkach nogami docieramy jednak szczęśliwie na Babiny Pohar

(1451 m). Tu w pobliżu staj pasterskiej robimy odpoczynek.

Z Babinego Poharu przed wojną schodził szlak wprost w dolinę Zubrynki. Niestety nie udaje się nam go odnaleźć. Idziemy więc dalej grzbietem w kierunku na Połomy, szukając po drodze możliwości zejścia w dolinę Zubrynki. Grzbiet z początku opada stromo, by następnie przybrać postać połogiego łuku, urozmaiconego malowniczymi polanami, porośniętymi sięgającymi wyżej pasa złotymi trawami. Stara poręba staje się dobrą okazją do zejścia w dolinę. Jej wnętrze kryje jednak niebezpieczną zasadzkę w postaci wielkiej obfitości dojrzałych malin. Opóźnia to znakomicie tempo naszego marszu. W końcu jednak docieramy do biegnącej dnem doliny gruntowej drogi, mniej więcej w tym rejonie, gdzie przed wojną stało schronisko. Teraz tam stoją jakieś zabudowania, pierwotnie przeznaczone dla ludzi, obecnie straszliwie zdewastowane pełnią rolę obór dla bydła. Mijamy odchodzącą w prawo drogę na Połoninę Niżną. Po dobiegających stamtąd dźwiękach dzwonek owczych i szczekaniu psów, domyślamy się istnienia staj. Zaczyna zapadać zmierzch, idziemy więc jeszcze kawałek w górę doliny i zakładamy biwak. Rozbijając namioty zastanawiamy się, czy płynący obok potok to jeszcze Zubrynka, czy już Doużyniec.

## dzień 3

17.08.1989

Dzisiaj nie zwijamy biwaku. Idziemy na Doboszanek bez plecaków, zostawiając w obozie dyżurnych. Wybieramy wariant wejścia najpewniejszy, to znaczy zgodny z przebiegiem przedwojennego szlaku czerwonego. Z doliny Zubrynki podchodzimy drogą na Połoninę Niżną. Szybko przekonujemy się, że to, co wczoraj wzięliśmy za staję, jest obdrapanym barakowozem otoczonym wianuszkami skleconych z najprzeróżniejszych odpadków prymitywnych obórek, chlewików i kurników. Porównanie tego, co zobaczyliśmy, ze stają pasterską byłoby niewątpliwie obrazą dla tej ostatniej. Połonina Niżna w dużej części wykorzystywana jest na łąki kośne – caryniki, pooddzielane od siebie płotami. Pokonujemy więc liczne przełazy i zastawy z drągów. Wąski pas lasu oddziela połoninę od ogromnej poręby, zarosłej

maliniakiem, oczywiście pełnym malin. Dzisiaj nie ma jednak czasu na obżarstwo, zostawiamy więc porębę tym, którzy się nie śpieszą i wchodzimy w ładny smrekowy las, z kolei pełen jagód. Siła złego na jednego! W końcu jednak wychodzimy na polanę, która wieńczy kulminację 1530 m. Widać stąd doskonale górną granicę lasu i dalszą naszą drogę na górujący wprost nad nami wał Doboszanki. Cała polanka, okolona brodatymi smrekami, pełna jest różnokolorowych kwiatów i byłaby wymarzoną wprost miejscem na biwak, gdyby nie zupełny brak wody.

Z przełęczy wyraźną ścieżką pośród kosodrzewiny zaczynamy podejście. Kosówka szybko się jednak kończy i przed nami wyrasta stroma ściana gorganu. Ścieżka idzie w prawo łagodnym wyprofilowanym w stoku trawersem. Jest to bez wątpienia fragment przedwojennego szlaku. Jednak po kilkuset metrach trawers ginie w rozległej wyspie kosówki, a my rozpoczynamy żmudną wspinaczkę po gorganie wprost do góry.

Grzbiet Doboszanki miejscami wąski, miejscami rozdzielony na dwa równoległe grzbiety głęboką rozpadliną, pokryty jest licznymi pozostałościami okopów z I wojny. Na mniej więcej pół kilometra przed głównym wierzchołkiem, na północnym, bardzo stromym stoku widać rozległe osuwisko, odcinające się jaśniejszym kolorem od szarozielonego morza gorganu. Ze szczytu Doboszanki (1764 m) wspaniała dookólna panorama. Mimo pewnego zamglenia widać kilka kolejnych planów. Na południu Douha z Płoską, za nimi Czarna Połonina z kulminacją Steryszory, a horyzont zamyka grzbiet Świdowca z Bliźnicą. Na lewo od nich widać wyraźnie sylwetki Pietrosa i Howerli. Na wschodzie doskonale prezentuje się grupa Siniaka i Chomiaka z ostrą piramidą Małego Gorganu na pierwszym planie. Ku północy dziesiątki zalesionych grzbietów i dolin opadających w dolinę Zielenicy, pokrytych gęsto liszajami poręb i jakichś bliżej nie określonych robót inżynierskich. Na zachodzie wreszcie nad Medweżykiem, Poleńskim i Kozim Gorganem rysuje się grupa Sywuli (1836 m), najwyższego szczytu Gorganów.

Z głównego wierzchołka grzbiet Doboszanki opada stromo na głęboką przełęcz, by następnie wspiąć się ponownie na wysokość 1737 m w kulminacji Medweżyka. Otwiera się z niego pełny wgląd w zachodnią część masywu Doboszanki, na Pikun (1657 m), Steryszorę (1569 m), Poleński (1694 m), Klewki i

Kozi Gorgan (1617 m). Bezmiar kamieni i kosodrzewiny bez śladu drogi, czy chociażby ścieżki. W dole widać zarośniętą w dużej części Połoninę Wyżną, przez którą mamy zamiar zejść z powrotem w dolinę Doużyńca. Nie uwzględniliśmy jednak w naszych planach jednego elementu, mianowicie kosówki. Przez pierwsze dwieście metrów udaje nam się odnajdywać jeszcze jakieś ślady ścieżki, później jest już tylko zbity gąszcz kosówki zamykającej się wysoko ponad naszymi głowami. Po trzech kwadransach spoceni, podrapani i oblepieni żywicą docieramy wreszcie na przełęcz. Tu jednak załamujemy się. Perspektywa dalszego darcia się przez gąszcz kosodrzewiny, tym razem pod górę na Wierch Wyżny (1634 m), nie łączy nawet najbardziej zawziętych. Rezygnujemy więc z utrzymania planowanego kierunku marszu i wybieramy rozwiązanie najprostsze: najkrótszą drogą w dół. Częściowo stąpając po konarach, częściowo się ich czepiając opuszczamy się do najbliższego jaru. Wyjście z kosówkowej dżungli wszyscy witamy z niekłamana ulgą. Teraz już malowniczym, pełnym progów skalnych jarem Doużyńca wracamy na biwak.

## dzień 4

18.08.1989

Dzisiaj wyruszamy na południe. Niewysoki grzbiet Połonów przekraczamy w rejonie koty 1262 m i opuszczamy się na przełęcz 1154 m zwaną Krzyżówką lub Stołem. Stoi na niej drewniany budynek schroniska (*turistskij prijut*), na pierwszy rzut oka w nienajlepszej kondycji. Najprawdopodobniej bez stałego gospodarza, a przynajmniej takie sprawiający wrażenie. Krzątający się wokół niego ludzie wyglądają raczej na wczasowiczów niż turystów. Obok schroniska biegnie droga gruntowa z Rafajłowej w dolinę Prutca Jabłonickiego. Przekraczamy ją i mijamy schronisko bez zatrzymywania. Jakoś nie pali nam się do kontaktów z czynnikami oficjalnymi.

Pogoda dopisuje nam nadal, chwilami jest nawet za gorąco. Niebo czyste, ale widoczność niestety nienajlepsza. Podchodzimy na Douhą. Najpierw lasem, później stromym zboczem połoniny osiągamy jej wierzchołek (1355 m) w rejonie starego

słupka granicznego nr 20. Cały grzbiet Douhej i Płoski to rozległa połonina, na której prowadzona jest także obecnie intensywna gospodarka pasterska. Stad jednak już nie ma, o wypasie świadczą jedynie usytuowane na samym grzbiecie liczne obory i koszary. Cały grzbiet oferuje szereg doskonałych miejsc biwakowych z obfitą wodą i wspaniałymi widokami na Doboszanek, Czarną Połoninę i grupę Sywuli.

Z Douhej ponownie w dół. Zbiegamy na łeb, na szyję w dolinę Doużyny. W wydany w 1987 roku w Moskwie atlasie "Ukraińskie Karpaty" w dolinie tej zaznaczono niebieską plamką "wodochroniliszczę" Dowżina. Mamy nadzieję, że jest to istniejąca do dzisiaj klawza. Niestety spotyka nas srogi zawód. Zapora jest rozbita, teren zalewu zarośnięty leszczyną, wokół rozjeżdżone niemiłosiernie drogi, a w potoku zamiast wody mętna bryja. Trwa intensywna eksploatacja zasobów leśnych, ale już współczesnymi metodami. Koryto potoku Beskid zamieniono dosłownie w grzęzawisko. Staramy się jak najszybciej uciec z tego morza błota, ale nie jest to takie proste. Podchodzimy na Steryszorę drogą, którą wcześniej przejechały ciągniki do zrywki drewna. Całe szczęście, że dawno nie padało. Grzęźniemy w glinie tylko po kostki, strach pomyśleć, co by było po deszczu.

Biwak zakładamy na grzbiecie Czarnej Połoniny pomiędzy Czarnym Groniem i Steryszorą. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca piętrzy się na południu imponujący wał Świdowca. Najmniej zmęczeni robią jeszcze wieczorem wypad na szczyt Steryszory, reszta zostawia go sobie na rano. Biwak świetny, tylko . . . zjadają nas żywcem maleńkie muszki, tak małe, że przez moskitierę namiotu przechodą bez trudu.

## dzień 5

19.08.1989

Rano mgła. Ci co nie poszli wieczorem na Steryszorę, już nie pójdą – nie ma po co. W kiepskich nastrojach, pogryzieni przez muszki zaczynamy schodzenie. Czarny Groń (1486 m) trawersujemy płajem od południa, na Poharskim natomiast wkraczamy w całe "miasteczko" szałasów, budek i chlewików. Stara osada pasterska. Niektóre szałas mają bardzo ciekawą, archaiczną

konstrukcję, ale wszystkie są niestety mocno nadgryzione zębem czasu. Używane nadal, najwyraźniej nie są jednak konserwowane. Robimy dziesiątki zdjęć i wychwalamy wspaniałe mleko, którym częstują nas gospodarze szałasów. Między szałasami pasą się bardzo fotogeniczne i wytworne kozy.

Stromym płajem, poprowadzonym krótkimi zakosami w lesie, zbiegamy do przysiółka Czarna Cisa (dawniej Pod Poharskim) u ujścia Doużyny do Czarnej Cisy. W samym środku przysiółka mały wiejski sklepik, a w nim chleb, konserwy rybne, soki. Spod sklepu zdezelowany autobus zabiera nas do Jasini, gdzie na skwerku pod pomnikiem Lenina robimy sobie drugie śniadanie z zakupionych w sklepiku produktów.

Po południu – jedni autobusem inni pociągiem jedziemy do Tatarowa zamykając w ten sposób pętlę pierwszej, gorgańskiej części naszej trasy. Odbieramy depozyt i tatarski dworzec ponownie przekształca się w wystawę wszelkiego dobra. Nasze zapasy budzą niekłamanie zainteresowanie przechodniów i oczekujących na pociąg pasażerów. Rzeczywiście, rozkładany na indywidualne porcje transportowych przydziałów nasz prowiant może wyglądać dla kogoś niezorientowanego jak bazarowy stragan. Stąd pewnie pytania zadawane nam co chwila – czy to na sprzedaż? Sprzedać nie sprzedamy, ale jest to dobra okazja do nawiązania rozmów. Starsi ludzie świetnie mówią po polsku, wspominają przedwojenne czasy, polskich letników i wcale nie są zdziwieni naszą obecnością.

Wieczorem wyruszamy na wschód w Beskidy Huculskie. Przechodzimy przez most na Prucie i obok przedwojennego Policyjnego Domu Zdrowia (obecnie Dom Wczasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) zaczynamy dolinę Tatarowczyka podchodzić na Jahodyn (1217 m). Niestety w połowie doliny droga się kończy i mamy do wyboru albo podchodzić dalej stromym, pełnym śliskich kamieni jarem potoku, albo na “krechę” wyjść wprost do góry na grzbiet. Wybieramy wariant drugi i w zapadającym zmierzchu wspinamy się przesyconym wilgocią lasem, często gęsto pomagając sobie rękami i mocno dysząc pod ciężkimi jak diabli plecakami. Już po zmroku zakładamy na grzbiecie biwak.



## dzień 6

20.08.1989

Cały dzień zajmuje nam wędrówka kolejnymi połoninami blisko dwudziestokilometrowego grzbietu Leśniowa, od Jahodyna po Hordje. Wygodnym płajem, trawersującym co wybitniejsze kulminacje, przemierzamy rozległe połoniny: Leśniów, Kunikływa, Oseredok, Czertyj, Winesenyj, Czarny Pohar, Szczewka i Bukowinka. Cóż za bogactwo nazw. Prawdziwy raj dla badaczy toponimów. Wszystkie kulminacje tego grzbietu ozdobione są wysokimi, drewnianymi krzyżami. Na niektórych wierzchołkach stoją nawet dwa albo trzy. Na WIG-owskich mapach zaznaczonych jest na tym grzbiecie wiele krzyży, ale obecnie odnajdujemy ich znacznie więcej. Oprócz wysokich, drewnianych, pozbawionych jakichkolwiek inskrypcji, spotykamy kilka krzyży betonowych opatrzonych napisami i ozdobami. Są wśród nich krzyże stawiane jeszcze przed wojną, ale także te z ostatnich lat. Jeden upamiętnia czyjąś śmierć od pioruna, inny śmierć z rąk sąsiada, jeszcze inny zwyczajnie chwali Boga zaopatrzonej w modlitwę "Ojcze Nasz". Huculi zaś przesiedli się najwyraźniej z koni na motory. Kilkakrotnie widzimy zmotoryzowanych "watahów" pędzących po połoninach.

Cały grzbiet jest z pewnością bardzo widokowy, ale my mimo ładnej pogody widzimy niewiele. Zamglenie powietrza powoduje, że bardziej się domyślamy niż dostrzegamy cokolwiek poza najbliższym planem. Za Bukowinką (1257 m) grzbiet zaczyna się podnosić. Przechodzimy Syhołkę (1327 m) i Hordje Dobrokijewskie (1353 m). Po południu pogoda się psuje i zaczyna kropić deszcz. Rezygnujemy więc z wejścia na Hordje (1479 m). Przed jego zalesionym trabantem (1416 m) skręcamy w prawo w drogę wojenną biegnącą z Kosmacza do Worochty. Droga zbudowana w czasie I wojny światowej, choć w kilku miejscach mocno zniszczona, używana jest nadal, o czym świadczą całkiem świeże ślady kół ciężkich samochodów. Droga szerokim łukiem obchodzi od wschodu Hordje, a następnie przez przełęcz Kłynie wychodzi na stoki Kityłowej (1431 m), by po obejściu jej od północy i wschodu wyprowadzić na siodło Gawory (1244 m). Tuż przed wejściem na przełęcz, na skraju niewielkiej polany, po prawej stronie drogi stoi prosty drewniany krzyż. Poniżej niego

w wysokiej trawie dwa niewielkie wzgórki. Spotkany na przełęczy przewodnik z pobliskiego schroniska Jawor nad Ardżelużą twierdził z całym przekonaniem, że pod tym krzyżem leżą polscy legionści. Nie jest to wykluczone, nigdzie jednak na ten temat nie udało mi się znaleźć żadnych informacji.

Z biwaku, który zakładamy na grzbiecie Kityłówki w rejonie punktu wysokościowego 1281 m, widać w promieniach zachodzącego słońca grzbiet Czarnohory.

dzień 7

21.08.1989

Wierzchołek Kityłówki (1383 m), który trawersujemy od południowego zachodu, obdarował nas obficie słodkimi jagodami. A dalej niezawodny jak zwykle płaj wyprowadził stokami Kopca (1349 m) na rozległe polany przysiółka Krywopole, a nimi na przełęcz Granica (916 m). Przez nią prowadzi dość ruchliwa, asfaltowa szosa, którą między innymi kursują autobusy z Żabiego (Werchowiny) do Worochty. Około pół kilometra poniżej przełęczy, w kierunku Ilci znajduje się przystanek autobusowy Krywopole. Przy szosie kilka zagród, kilka domków letniskowych. Większość zagród rozrzucona po okolicznych stokach. Domki drewniane, schludne, często z oszklonymi, kolorowymi werandami. Dachy wyjątkowo już tylko kryte gontem czy dranicą, najczęściej jednak blachą z koronkowymi, wyciętymi w niej ozdobami gzysów i rynien, a także wytłoczonymi w blasze zdobieniami szczytów. Z takimi samymi zdobieniami spotkałem się już na rumuńskiej Bukowinie. Odnoszę wrażenie, że tak tam jak i tu, ilość blaszanych ozdób jest miarą zamożności właściciela, a zatem obowiązującym kanonem piękna. Nam przypomina to trochę ... wystrój trumien, tym większą więc radość sprawia każda starodawna zagroda.

Taką właśnie zagrodę, jakby żywcem przeniesioną z ubiegłego stulecia odnaleźliśmy w przysiółku Bukowień, po drodze na Kostrzycę. W centrum stał obszerny, kryty gontem dom z ozdobnym gankiem. Obok, prostopadle do niego mniejszy, kryty dranicami. Jego frontową ścianę osłaniał oparty na kolumienkach, wysunięty okap dachu, tworząc w ten sposób ro-

dzaj długiego ganku. Był to, jak sędzę, stary dom pełniący obecnie, po wybudowaniu większego, rolę obórki i składziku. Zagrodę uzupełniał spichlerzyk z piwniczką oraz rodzaj oszalowanego ze wszystkich stron brogu i pasieka z pięknymi, starymi ulami. Całe gospodarstwo otaczały worynie (czy jak u Vincenza – worynia), rodzaj specyficznego dla Huculszczyzny płotu, oddzielające od siebie poszczególne partie łąk, zależnie od ich przeznaczenia. Ale jakie to były worynie!? Tym, które spotykaliśmy już wcześniej, zawsze czegoś brakowało – a to poprzeczki były nie takie, a to wiązane u szczytu były zwykłym drutem. Te zaś miały wszystko na swoim miejscu: poprzeczki były z łupanych po długości bali, a wiązane były wiklinową plecionką. Cała zagroda sprawiała wrażenie dobrze utrzymanego skansenu. O tym, że nie jest to muzeum, przekonaliśmy się jednak bardzo szybko, popijając wyniesione przez gościnną gospodynię mleko. Gospodarz zaś, gdy dowiedział się, że jesteśmy z Polski, zapytał zaraz, czy nie mamy ze sobą przypadkiem ... długiej kosa. Tu długa kosa jest nieosiągalna, a koszenie krótką to dwa razy więcej roboty. Na dowód tego pokazał nam swoją kosę, z którą szedł właśnie na łąkę. Jej ostrze było znitowane domowym sposobem z dwóch krótszych. Rozstając się z miłymi gospodarzami przyrzekliśmy sobie, że następnym razem bierzemy po jednej kosie do plecaków. Nie wiem jednak, czy dziadek pamiętający przedwojenne polskie kosa nie rozczarowałby się przykro współczesnymi wyrobami. Z tą jakością polskich kos to musiała być prawda, bo pamiętam, że kiedy byłem w Karpatach Marmaroskich to tamtejsi Ukraińcy z Ruskiej Polany też pytali mnie o kosa z Polski.

Idziemy dalej, to brodząc po kolana w kwiecistych łąkach, to depcząc po elastycznym dywanie świeżo skoszonej trawy. Słońce praży niemiłosiernie, a powietrze przesycone zapachami skoszonych łąk zdaje się stać w miejscu. Coś najwyraźniej “wisi w powietrzu”. Odkąd przekroczyliśmy przełęcz w Krywopolu, jesteśmy już jakby nie było w Czarnohorze, a to przecież góry słynące ze zmiennej pogody. Zatrzymujemy się na skraju lasu i zapalamy ognisko – czas na przegryzkę. W tym samym momencie dochodzą do nas pierwsze pomruki burzy, a zaraz potem spadają grube krople deszczu. Chowamy się pod smreki, a deszcz po chwili zamienia się w grad tak intensywny, że

stojące przy ognisku menażki w mig wypełniają się po brzegi gradowymi kulkami. Niektóre z nich mają wielkość gołębiego jaja. Ścieżka błyskawicznie zamienia się w rwący potok, a w lesie robi się biało. Smreki i parasole osłaniają wprowadzie przed bolesnymi uderzeniami gradu, ale nie przed wodą. Miny mamy raczej niespecjalne, tym bardziej, że to “bombardowanie” wcale nie ma zamiaru się szybko skończyć. Wreszcie, po godzinie z okładem grad ustaje, a deszcz traci zdecydowanie na intensywności. Zmarznięci, zgrabiętymi rękami rozpalamy jednak jakoś ognisko, a gorąca herbata przywraca optymizm. Około piątej po południu przez chmury przebijają się pierwsze promienie słońca, zaczynamy więc podejście pod Kostrzycę. Czarnohora dała nam pierwsze ostrzeżenie, aż strach pomyśleć co by było, gdyby taka burza złapała nas gdzieś na grzbiecie.

Sprawdza się przysłowie, że nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, Kostrzyca (Kostrycz 1586 m) nagradza nas wspaniałym widokiem. Po gradowej burzy powietrze ma bowiem krystaliczną przejrzystość. Z porytego okopami szczytu widzimy jak na dłoni cały grzbiet Czarnohory, od którego oddziela nas tylko Maryszeska i dolina Bystrca. Na zachodzie widać Gorgany z grupami Siniaka, Doboszanki i Sywuli. Na północy zaś całe mnóstwo gór – to Beskidy Huculskie z Hordjami i Łysiną Kosmacką. My jednak najdłużej spoglądamy na grzbiet Czarnohory. Uczymy się nazw szczytów i dolin, porównujemy widok z panoramą zamieszczoną w przewodniku Gąsiorowskiego<sup>1</sup>. Z niemałym zdumieniem ale co tu dużo ukrywać, i pewną satysfakcją znajdujemy na niej błędy. Mianowicie nie ma tam w ogóle Pop Iwana dominującego we wschodniej części grzbietu Czarnohory. Inna sprawa, że Gąsiorowskiemu było trudniej go zlokalizować ponieważ kiedy rysował swoją panoramę szczytu Pop Iwana nie wieńczyła charakterystyczna sylwetka obserwatorium. Teraz widoczne na szczycie jego ruiny nie pozwalają mieć żadnych wątpliwości.

Namioty rozbijamy wysoko na ramieniu Kostrzycy z cudownym widokiem na zachodzące za Wielką Koźmieską słońce. Długo siedzimy przy ognisku wpatrując się w horyzont grają-

---

<sup>1</sup>Henryk Gąsiorowski, Przewodnik po Beskidach Wschodnich, t.2 Pasma Czarnohory, str. 96: Schematyczny rys linii ...

cy całą gamą fioleatów, na których tle dominuje czarny stożek Howerli.

## dzień 8

22.08.1989

Miło jest obudzić się ze świadomością, że po rozpięciu namiotu ujrzy się panoramę Czarnohory, tym bardziej, że z Kostrzycy jest ona podobno najpiękniejsza. Przed wyruszeniem w dalszą drogę rozglądamy się w poszukiwaniu śladów harcerskiego schroniska "Pod Kostrzycą". Brakuje nam jednak jego dokładnej lokalizacji na mapie i w tej sytuacji poszukiwania kończą się fiaskiem. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że było ono położone dużo bardziej na wschód od miejsca naszego biwaku, gdzieś w rejonie wierzchołka 1513 m.

Dzisiejsza nasza droga wiedzie grzbietem łączącym Kostrzycę z Maryszeską. Znajduje się w nim kilka niewybitnych kulminacji sięgających ok. 1350 m wysokości, oddzielonych od siebie płytkim przełęczami. Trasa, wiodąca zalesionymi grzbietami, zapowiadająca się niezbyt ciekawie, przyjemnie nas rozczarowała dostarczając z licznych polan bajkowych wprost widoków na górne piętro doliny Bystrca. Marysz (1345 m) trawersujemy od południa i zaczynamy podejście na Maryszeską. Okazuje się, że stary płaj wyprowadzający ponad granicę lasu i dalej na szczyt, nieużywany, zarósł całkowicie. Idziemy więc w lewo ścieżką biegnącą mniej więcej po poziomicy ponad doliną Bystrca. Trawersuje ona Maryszeską wychodząc na jej południowe stoki, wprost na ruiny schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy "Pod Maryszeską".

Punktualnie o godzinie trzeciej po południu nadciąga burza i zaczyna padać deszcz. Wprawdzie tym razem bez gradu, ale wystarczy, żeby nadwątlić naszą motywację do dalszej wędrówki. Jednogłośnie postanawiamy go przeczekać, co nam się zresztą udaje, ale jest to pyrrusowe zwycięstwo, bo kiedy deszcz przestaje padać, jest już tak późno, że dalszy marsz nie ma sensu. Nocujemy więc pod Maryszeską, tuż obok romantycznych ruin schroniska z wznoszącym się wprost przed nami masywem Szpyci (1864 m).

dzień 9

23.08.1989

Dzień wstaje wilgotny i zamglony, ale na szczęście nie pada. Bystreckim Płajem wychodzimy na przełęcz między Maryszeską a Szpyciami, a z niej mało używaną ścieżką zaczynamy podchodzić grzbietem na Szpyci. Las się szybko kończy i zaczynamy kluczyć wśród kosówki mokrej jeszcze po wczorajszym deszczu. Przeciskając się pomiędzy grubymi jak ręka konarami, przypominam sobie, jak to Walery Goetel w "Wierchach"<sup>2</sup> ciskał gromy na spółkę "Howerla" eksploatującą olejek kosodrzewinowy na stokach Maryszeskiej. Ś.p. Profesor miałby dzisiaj satysfakcję – po działalności spółki ani śladu. Nieprzeniknione łąny kosówki porastają stoki Maryszeskiej, Szpyci i Homuła. Wyrываяc po raz nie wiem który plecak z elastycznych splotów poczułem jednak jakby odrobinę sympatii do przedwojennych fabrykantów terpentyny.

Wierzchołek Szpyci (1864 m) zostawiamy po lewej ręce i trawersem wychodzimy na rozległą przełęcz między Szpyciami a Homulem (1786 m). Pomiędzy kosodrzewiną, niższą tu i mniej gęstą pojawiają się coraz częściej rozległe połacie rdzawych traw nadających stokom jesienny koloryt. Na przełęczy krzyżują się rowy okopów ze sterzącymi złowrogo zwojami drutu kolczastego. Z przełęczy podziwiamy oryginalny widok na wyrastające w środku kotła Dancerzyka, Wielkie i Małe Kozły oraz na zdominowane potężnym masywem Turkuła (1932 m) otoczenie Jeziora Niesamowitego – celu naszej dzisiejszej wędrowki. Od dłuższego już czasu zanoszą się na burzę. Jej odległe pomruki dobiegające do nas coraz to z innej strony chcąc nie chcąc przywołują na pamięć przedwczorajsze gradobicie. Wzmacnia to niewątpliwie argumenty tych, którzy proponują, abyśmy do Jeziora Niesamowitego dotarli obchodząc Wielkie i Małe Kozły od dołu doliną Dancerzyka. Bardziej jednak od burzy na grzbiecie odstrasza nas zwarte łąny kosówki szczelnie wypełniające górne piętro doliny Dancerzyka. Wracamy więc na grzbiet Szpyci i idziemy nim do zwornika w grzbiecie głównym (1935 m). Po drodze podziwiamy Szpycie (Szpice), wypreparowane przez wiatry i wodę

<sup>2</sup>Wierchy r. X, 1932, str. 143–146

w piaskowcu magurskim oryginalne formy skalne, wiszące jak dekoracje teatralne nad kotłem Gadźyny.

Na rozległą połoninę grzbietu głównego wychodzimy przy słupku granicznym nr 30, wracając w ten sposób na starą granicę polsko-czechosłowacką, spotkaną już raz na trasie naszej wycieczki na Połoninie Douhej. Po trzech kwadransach docieramy na przełęcz pod Turkułem. Schodzimy z niej jednak na stronę południową, ponieważ wydaje nam się ona bardziej nadającą się na kameralny biwak niż okolica Jeziora Niesamowitego. Jak zwykle o trzeciej po południu zaczyna padać. W tej sytuacji planowany popołudniowy wypad bez plecaków na Howerłę odkładamy na następny dzień. Tuż przed zachodem słońca południowy nieboskłon rozjaśnia się, chmury ustępują i nad doliną Białej Cisy ukazuje się zębaty łańcuch Karpat Marmaroskich z Farkaulem (1961 m), Mihaileculem (Mihailekiem 1920 m) i Pop Iwanem Marmaroskim (1940 m).

dzień 10

24.08.1989

Wstajemy przed świtem i bez śniadania wyruszamy na Howerłę. Deszcz wprawdzie nie pada, ale za to gęsta mgła spowiła szczerlnie wszystko. Idziemy ściśle grzbietem od słupka do słupka. Dwukrotne próby trawersowania wierzchołków (Turkuła i Dancerza) kończą się błędzeniem po omacku i koniecznością powrotu na grzbiet. Klnę w duchu nieprzychylny los, ponieważ mojemu pierwszemu wejściu na Howerłę w 1980 roku towarzyszyła identyczna aura. Wtedy ze szczytu nie widzieliśmy nic.

Jednak za Breskułem (1911 m) mgły zaczynają pękać pod naporem wiatru i szczyt Howerli (2058 m) wita nas słońcem. Stoimy na najwyższym wierzchołku Beskidów, marzenia stały się faktem. Dla każdego z uczestników naszej wyprawy jest to wydarzenie wyjątkowe, swoiste święto. Toteż z początku każdy przeżywa je po swojemu i dopiero po pewnym czasie zaczynamy rozmawiać, dzielić się spostrzeżeniami i zwyczajnie się cieszyć. Nie obyło się oczywiście bez obowiązkowego w takich wypadkach ceremoniału zdjęcia strażackiego. Widok ogranicza kłębiące się w dole, po północnej stronie, morze chmur, na połu-

dnie jednak wzrok biegnie daleko ponad zalaną słońcem dolinę Białej Cisy. Sąsiedni Pietrosz (2020 m) zwieszający swoją urwistą ścianę nad Przełęczą Harmanieską co chwila przesłania swe czoło postrzępionymi chmurami.

Przebiegam wzrokiem połoninę Breskulską w poszukiwaniu schroniska. W roku 1980 na pewno tam było. Jak dziś pamiętam, jak maszerując przez Połoninę Harmanieską spoglądaliśmy z niepokojem w jego kierunku, zastanawiając się czy nie wyjdzie z niego ktoś i nie zapyta nas, skąd się tu wzięliśmy. Teraz nie mogę go odnaleźć, może go już nie ma? Jest natomiast doskonale widoczny kompleks turystyczny na Połoninie Pożyżewskiej, Zaroślaka niestety nie widać.

Wiatr, który rozwiął mgły, zaczyna się wzmacniać i pędzi przez grzbiet coraz to nowe strzępy mgieł czy chmur. Wracamy na miejsce biwaku jakby granicą dwóch światów. Po prawej ręce mamy pełne słońca i ciepła rozkwiecione połoniny, po lewej morze mgieł, chmur i wiatrów. Wypad na Howerlę zajął nam blisko pięć godzin, toteż śniadanie zjadamy dzisiaj w południe, by zaraz potem zwinąć biwak i ruszyć dalej grzbietem Czarnohory na południowy wschód.

Czarnohora przytłoczyła nas swym ogromem. Szliśmy godzinami wydającym się nie mieć końca grzbietem poprzez Rebra (2001 m), Brebenieskuł (2037 m), Munczel (1999 m), Dzembronię (1880 m), jedne wierzchołki zdobywając, inne trawersując wygodnym płajem. Otwierały się pod naszymi nogami rozległe kotły Gadżiny, Kizich Ułohów, Dzembronii. Pod Gutin Tomnatykiem połyskiwało w słońcu czarnosrebrzyste jezioro, otoczone z trzech stron stromymi stokami polodowcowego kotła. Dźwięczały w uszach nazwy mijanych bocznych grzbietów: Kiedrowaty, Pohoryłka, Rozszybenyk. Ze wszystkich zdobywanych po drodze wierzchołków widzieliśmy wyznaczkający kierunek naszego marszu potężny masyw Popa Iwana, zwieńczony charakterystyczną sylwetą ruin obserwatorium.

Grzbiet na całej długości poryty jest niezliczonymi, częściowo już zabliznionymi liszajami okopów, z których tu i ówdzie wystają jeszcze zwoje zardzewiałego drutu kolczastego. Jak na siedemdziesięciolatka z okładem jest on jeszcze całkiem krzepki i wystarcza chwila nieuwagi, by zostawić na nim fragment nogawki. Na szczycie Brebenieskuła odnaleźliśmy wyraźnie czytelne



całe linie obronne, transzeje, stanowiska dowodzenia, bunkry.

Przy słupku granicznym nr 18 wieńczącym zwornik grzbietu Smotrca (1896 m) uznajemy, że wchodzenie po ciemku na Popa Iwana nie ma sensu, i że musimy zostawić go sobie na jutro. Ostatnie promienie słońca towarzyszą naszemu zejściu w dolinę Pohorylca, gdzie na stokach Smotrca, przy ruinach schroniska Sekcji Narciarskiej AZS Warszawa rozbijamy namioty. Wiatr, który wiał cały dzień z niesłabnącą siłą, również w nocy szarpie tropikami namiotów, ale niebo jest wspaniale rozgwieżdżone.

dzień 11

25.08.1989

Okolice, gdzie schodzą się grzbiety Smotrca i Pop Iwana, nosi wiele mówiącą nazwę – Pohane Misce. Przekonaliśmy się wkrótce, że to nie są puste słowa.

Kiedy rano zaczynamy podejście na Pop Iwana (2022 m) wiatr jest tak silny, że wręcz utrudnia oddychanie. Pochyleni w kierunku nacierającego wiatru staramy się utrzymać na grzbiecie równowagę. Dobrze, że schowane w kosówce plecaki zostały na dole, bez nich łatwiej walczyć z wiatrem. Krok za krokiem zbliżamy się do ruin obserwatorium piętrzących się na szczycie niczym jakieś ponure, średniowieczne zamczysko. Wreszcie jest słupek nr 16 i dający osłonę przed wiatrem mur obserwatorium. Rozbiegamy się po ruinie zaglądając do wszystkich kątów. Mury są bardzo dobrze zachowane, zaś klatka schodowa umożliwia wejście na piętro i na dach. W jednym z pomieszczeń prawego skrzydła zachował się drewniany strop, niestety mocno już przegniły i wybrzuszony. W wieży teleskopu zachowały się jakieś żeliwne elementy jego konstrukcji. Wszędzie walają się popękane grzejniki i rury kanalizacyjne. Z pozbawionych tynku ścian odpada płatami materiał izolacyjny. Ten obraz totalnego zniszczenia i destrukcji przywodzi mi na pamięć, brzmiące tu jak kiepski żart, wspomnienia kierownika obserwatorium Władysława Midowicza. Opuszczając 17 września 1939 roku obserwatorium zostawił on otwarty na oścież sejf po to, żeby ci, którzy przyjdą tu później, nie musieli go rozbijać, aby dowiedzieć się, że jest pusty.

Płaskorzeźbę stylizowanego orła zdobiącą wejście do obserwatorium przecinają głębokie ślady po pociskach. Dziś już nikt nie odgadnie, jakiej armii żołnierz je wystrzelił – radzieckiej, węgierskiej czy niemieckiej, a może podziemnej, ukraińskiej?

Robimy oczywiście całą masę zdjęć. Niestety zamglone powietrze, mimo słonecznej pogody, ogranicza rozległość panoramy. Na południu widać jednak majaczącą ponad obniżeniem Przełęczy Szybeńskiej zgrabną piramidę Stohu (1653 m). W 1982 roku stojąc na jego szczycie wpatrywałem się w majaczące na Pop Iwanie obserwatorium i bardzo, bardzo chciałem stanąć kiedyś pod jego murami. Nawet szalone marzenia się czasem spełniają.

Poganiani huraganowymi podmuchami wiatru zbiegamy z Pop Iwana do plecaków ukrytych w pobliżu ruin schroniska AZS. W dolinie ciepło i wiatr nie taki silny. Toteż tylko część z nas decyduje się wrócić na grzbiet i wędrować dalej przez Smotrec (1896 m), pozostali idą doliną na przełęcz pod Stajkami.

Dolina Pohorylca wydała mi się rajem na ziemi. Być może dlatego, że po zdobyciu Popa Iwana zasadniczy cel wycieczki został spełniony i ogarnęło mnie pewne odprężenie, a nawet rozleniwienie. W każdym razie miałem – i chyba nie tylko ja – ogromną ochotę zostać nad Pohorylcem kilka dni i poszwendać się bez celu po polanach pełnych kwiatów, zapachów i słońca.

Na przełęczy pod Stajkami spotykamy schodzących ze Smotrcza kolegów, jednak dalsza nasza droga nie wygląda najlepiej. Kosówka zwarła szeregi i szykuje się najwyraźniej do walnej z nami rozprawy. Po długim studiowaniu pozycji przeciwnika odnajdujemy w jego szeregach pewne słabsze miejsca i na nich koncentrujemy swoją uwagę. Ledwie widoczną ścieżką próbujemy wyjść na północne ramię niższego wierzchołka Stajek (1732 m). Manewr przynosi sukces. Kosówka jest tu mniejsza, dzięki czemu dość szybko osiągamy wysokość i trawersując partie szczytowe od północy wychodzimy na przełęcz pod właściwy, potrójny szczyt Stajek (1745 m). Okazało się jednak, że tu właśnie, na przełęczy ukryte do tej pory przed nami zgromadziły się główne siły wroga.

Zadnej taryfy ulgowej, ani śladu ścieżki, a w dodatku kosówka porasta kilka linii okopów gęsto przeplatanych zasiekami z drutu kolczastego. Utrzymując się w konwencji, można by rzec,

że trup padał gęsto i nikt nie dawał pardonu. Jakoś w końcu ledwie żywi wgramoliliśmy się na skalisty szczyt Stajek po to tylko, żeby – uciekając przed zmierzchem – szybko z nich zbiec na rozległe polany na ich wschodnim stoku. Namioty rozbijamy już po ciemku.

dzień 12

26.08.1989

Dzień wstaje pochmurny i zamglony. Lasem schodzimy na przełęcz, a z niej zaczynamy podchodzić na Skoruszny (1551 m). Najpierw stromo wprost w górę, później w prawo, łagodnie nabierającym wysokości, długim, leśnym trawersem. Grzbiet Skorusznego osiągamy daleko na południowy wschód od głównego wierzchołka, na rozległej połoninie w rejonie kulminacji 1331 m. Połonina jest wypasana, jednak stad ani pasterzy nie spotykamy. Płaj przewija się wreszcie przez grzbiet i wchodząc ponownie w las zaczyna opadać do Zielonego. Po kilku minutach wychodzimy na szeroką, stromo opadającą w dolinę porębę, z której szczytu otwiera się nam rozległy widok na dolinę Czarnego Czeremoszu, rozrzucone w niej przysiółki Zielonego, a także na stoki wznoszącej się po przeciwnej stronie doliny Skupowej, celu naszej dzisiejszej wędrówki. Zaczyna kropić drobny deszczyk. Jednak poręba pełna jest dojrzałych malin, a młodniki w dolnych partiach stoku obfitują w rydze, toteż zejście do Zielonego zajmuje nam więcej czasu, niżby to wynikało z mapy.

Docieramy jednak wreszcie do wsi, prosto pod wiejski sklep, w którym oczywiście robimy zakupy. Kupujemy jakieś ciastka, soki, które od razu wypijamy, oraz coś co się nazywało kisiem, a co – jak się później okazało – wcale nim nie było. Krzątanka naszej grupki pod sklepem wzbudziła niestety zainteresowanie miejscowego milicjanta, który po krótkiej wymianie zdań oświadczył nam, że znajdujemy się w ścisłej strefie nadgranicznej, i że powinniśmy posiadać na to specjalne zezwolenie. Skoro takiego nie mamy, musimy udać się z nim na posterunek. Zabrzmiało to dość groźnie i urzędowo. Poszliśmy więc przez wieś konwojowani przez milicjanta i odprowadzani ukradkowymi spojrzzeniami mieszkańców. Minęliśmy po lewej stronie cerkiew i po jakichś

500 m stanęliśmy przed niewielkim drewnianym, stylizowanym na "sztukę huculską" budynekkiem. Jak się okazało pełnił on rolę posterunku, którego załogę stanowił "nasz" milicjant. Rozłożyliśmy się obozem w przestronnej sieni posterunku pełniacej jednocześnie rolę przystanku autobusowego, a pan posterunkowy podjął trud porozumienia się z przełożonymi w rejonie, to znaczy w Żabim–Słupejce (obecnie Werchowina), w celu ustalenia, co z nami począć. Ponieważ porozumienie telefoniczne z rejonem okazało się sprawą skomplikowaną i czasochłonną, z nudów zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Szybko znaleźliśmy piekarnię, a w niej świeżutki, jeszcze gorący chleb.

Mieszkańcy Zielonego, z daleka omijający posterunek, pytali nas sciszając głos – "A czego ten siandar od was chce?". Sioandar zaś okazał się zupełnie sympatyczny. Problemy łącznościowe wprawiły go w zakłopotanie. Odnieśliśmy wrażenie, że żałuje coraz bardziej tego, że nas pod tym sklepem zauważył. Najwyraźniej napytał sobie biedy i teraz nie wie, co z tym fantem począć. Wystawił nam na zewnątrz posterunkowy stół, a do chleba i smalcu zaserwował nam służbowy (?) czosnek. Wreszcie łączność została nawiązana i zapadły decyzje. Dla każdego z winnych naruszenia strefy – to znaczy z nas – został spisany osobny protokół zawierający, oprócz całej masy najdziwniejszych informacji (np. zawód i wysokość zarobków), także własnoręcznie napisane oświadczenie, że naruszenie było nieświadome i wynikało z naszej niewiedzy.

Teraz został już tylko problem, jak nas ze strefy nadgranicznej usunąć. Granica ścisłej strefy przebiega gdzieś między Dzembronią a Bystrcem, a najbliższy autobus do Żabiego i Kosowa miał przyjechać dopiero za cztery godziny. Sioandarowi nie bardzo się uśmiechała perspektywa pilnowania nas do późnego wieczora. Nasza nieśmiała propozycja, że może pójdziemy piechotą przez Skupową (takie były nasze pierwotne plany), spotkała się z uprzejmym ale zdecydowanym odporem. Pozostało więc czekać na okazję. Pojawiła się ona dość szybko w postaci pojazdu przypominającego trochę "Osinobus", a jadącego do Ilci. Ku obopólnej radości rozstaliśmy się więc z zeleneńskim siandarem, na pożegnanie obdarowując się wzajemnie drobnymi pamiątkami.

Jazda przełomem Czarnego Czeremoszu szutrową, miejsca-

mi bardzo wąską i eksponowaną drogą przysporzyła nam wiele emocji i satysfakcji z oryginalnych widoków. Żał tylko, że nie mieliśmy więcej czasu na jego dokładne zwiedzenie.

Wysiadłszy w Ilci z naszej “okazji”, odwiedziliśmy przede wszystkim ogromną, drewnianą cerkiew, zbudowaną w tak zwanym “stylu narodowym”. W przestronnym wnętrzu, ozdobionym dziesiątkami haftowanych ruczników i liźników kłui znajdujący się w centrum ikonostasu, migający na przemian czerwonym i niebieskim światłem neon głoszący chwałę Chrystusa. Na przycerkiewnym cmentarzu zwracają uwagę stoliki usytuowane przy każdej prawie mogile. Świadczą one o żywej tradycji spożywania rytualnych posiłków nad grobem bliskich.

Późna godzina przypomniała nam o konieczności szukania noclegu. Przeszliśmy więc przez wiszący mostek na Czarnym Czeremoszu i po godzinnym podejściu przez łąki i pola dotarliśmy do skraju lasu ponad ostatnimi zagrodami przysiółka “Pod Krętą”. Ładny widok na kotlinę Ilci i malowniczo rozrzucone po stokach zagrody jej przysiółków zdecydowały o wyborze tego miejsca na biwak.

## dzień 13

27.08.1989

Na północy, nad wypełnioną porannymi mgłami kotliną Ilci unosiły się obłe wierzchołki Beskidów Huculskich – Poharów, Wipczynki i Białej Kobyły. Na zachodzie zaś, na lewo od widocznej w perspektywnym skrócie Kotrzycy, Howerla stała na straży czarnohorskiego łańcucha. Wczorajszy deszcz oczyścił widocznie powietrze, bo przejrzystość jego była wręcz doskonała mimo zalegających doliny mgieł. Huculskie zagrody wyrzucały się z nich niczym jakieś archaiczne, baśniowe wyspy z zaczarowanego oceanu.

Piotrek i Zygmunt schodzą dzisiaj na dół, spotkamy się z nimi dopiero za dwa dni. My natomiast zaczynamy podejście na Krętą (Kryntą 1351 m). Zupełnie dobra droga kończy nam się – można by rzec – już tradycyjnie w najmniej spodziewanym miejscu i nie zostaje nam nic innego jak zrobienie “dirtissimi” Krętej. Pot zalewa oczy, gałęzie czepiają się plecaków, a za

kolnierz sypie się igliwie, przyklejając się natychmiast do mokrych pleców. Co tu dużo mówić, w wybieraniu najstromejszych i najbardziej zakrzaczonych stoków Adam jest niezastąpiony. W końcu gramolimy się na grzbiet, las kończy się nagle i ... całe zmęczenie, złość oraz nieuzasadnione pretensje przechodzą jak ręką odjął. Oczom naszym ukazuje się panorama, o jakiej marzy każdy górski turysta. W krystalicznie czystym powietrzu, skąpane w słońcu rozpostarły się przed nami dziesiątki pasm i setki wierzchołków. Panorama z górą stukilometrowej rozpiętości. Od Gorganów z Siniakiem, Doboszanką i Sywulą, poprzez majestatyczną Czarnohorę widoczną w najdrobniejszych szczegółach i rozległe, tajemnicze Hryniawy z Babą Ludową (1586 m), aż po Góry Marmaroskie z Czywczynem, Budyjowską, Kopilaszem i ... Góry Rodniańskie z Pietrosulem i Ineulem. Staliśmy oniemiali przed tym trudnym do ogarnięcia bogactwem, chłonąc je w milczeniu. Taka panorama trafia się raz na wiele lat. Robimy oczywiście dziesiątki zdjęć, klócimy się o identyfikacje poszczególnych szczytów i z tego wszystkiego zapominamy o upływie czasu. Dopiero kiedy zaczynają pojawiać się chmury i widoczność zaczyna się psuć, przypominamy sobie o dalszej drodze.

Z Krętej schodzimy płajem do przysiółka Za Magurą. Ze świata gór przenosimy się nagle do świata ludzi, ale ludzi górskich, do serca Huculszczyzny. Grzbiety, grzbieciki i kopy wypełniające całą przestrzeń od znajdujących się za naszymi plecami stoków Krętej aż po majaczący w oddali ciemny masyw Synyci, pokryte są niezliczoną ilością zagród. Tak właśnie, nie przysiółków, nie osiedli, ale zagród. Każda z nich jest inna, ale każda jest swoistym, zamkniętym kosmosem odseparowanym od reszty świata. Samowystarczalną całością, warownią ukrywającą ludzką siedzibę za kilkoma pierścieniami płotów, bramek, rozłogów, przełazów i czego tam jeszcze. Nawet brogi pełne świeżego siana odgradzają się od otoczenia dookolnym płotem.

Idziemy drogą pomiędzy płotami, w których tradycyjna konstrukcja woryni pobrzmiwa już tylko jak dalekie echo. Mijamy kolejne zagrody. Wszystkie, i te małe, biedne, i te duże, bogate odwrócone są do drogi tyłem, plecami. Kryją swoją intymność przed niepowołanym okiem. Rozglądamy się za prawdziwą huculską grazdą, taką, której niezapomniany obraz wymalował na kartach "Wysokiej Połonyi" Stanisław Vincenz. Wreszcie, chy-

ba jest! Wysoki, szary od starości, czterospadowy dach kryty dranicami. Okapy sięgające prawie do samej ziemi tak, że ściany spod niego prawie nie widać. W bok pod kątem prostym odchodzą mniejsze daszki. Niecierpliwie rozbieramy rozłogi, podchodzimy bliżej, otwieramy furtkę i . . . rozczarowanie. To tylko pół graźdy z podwórzem zamkniętym z dwóch stron. Chata piękna, wiekowa, ale liczyliśmy na więcej. Gospodyni widząc nasze zawiedzione miny tłumaczy nam, że prawdziwą grażdę znajdziemy wyżej, tam w kępie starych dębów.

I rzeczywiście ta jest na miarę vincenzowskiego opisu. Ogromna, zwrócona do wewnątrz jak stary człowiek zapatrzony w przeszłość. Dopiero tym, którzy przekroczą zwieńczoną daszkiem bramę, ukazuje swe prawdziwe, ciepłe oblicze z ciemnobrązowych, wiekowych bali. Wygląda na to, że nikt już w niej nie mieszka. Wnętrza obórek i składzików spowite tajemniczym półmrokiem są puste. Ciekawe jaki będzie dalszy los tej graźdy, może trafi do skansenu?

Pod wieczór z grzbietu Magury (1057 m) oglądamy cały ten świat huculski z jakąś cichą radością, ale i smutkiem zarazem. Całymi latami czytając o Huculszczyźnie budowaliśmy w wyobraźni jej obraz na miarę tamtych czasów, minionych bezpowrotnie. Teraz dotykamy jej, smakujemy i porównujemy. Nie jest taka jak tamta, bo być nie może. Jest inna, ale jest. Stąd radość i żal zarazem. Patrzymy w dół na Krasnoilę, Czarną Riczkę i hen na majaczące na stokach Skupowej – Hołowy. Wsłuchujemy się w odgłosy niespiesznej krzątany. Nagle dobiega do naszych uszu głos trembity. Żałosny ale i pogodny zarazem, przykuwający uwagę jak daleki pomruk gromu, powodujący skurcz serca. Dźwięk trwający nie dłużej niż mgnienie oka, a zapadający głęboko w świadomość, poruszający do głębi. Tak płacze trembita tylko nad grobem, tak gra tylko w ostatnią drogę Hucułowi.

dzień 14

28.08.1989

Na biwak rozłożony na skraju niewielkiego zagajnika przychodzą rano krowy, a za nimi stara Huculka z fajką w ustach. Śmiejąc się do nas pokazuje żółte zęby, dwa ostatnie zresztą. Dzisiaj w Ilci jest odpust czyli chram – “Persza Bohorodyca”. Kiedyś to on był w Słupejce ale teraz tam już nie ma cerkwi, więc niejako zastępczo robiony jest w Ilci. W demokratycznym głosowaniu decydujemy, że nie idziemy na chram, lecz dalej przez Synycie do Krzyworówni. Prawdę mówiąc do dzisiaj nie wiem dlaczego wówczas tak, a nie inaczej zdecydowaliśmy. Zdjęcia zrobione przez naszych kolegów na chramie w Ilci świadczą niezbicie o tym, że zrobiliśmy głupio.

Na Synycie (1166 m) docieramy bez kłopotów, po dwugodzinnym marszu pośród zagród huculskich i krótkim ale stromym podejściu stokiem porośniętym lasem i leszczynowymi zaroślami. Na szczycie poszukiwanie Doboszowych Komór szybko zostaje zarzucone na rzecz malinowej uczt.

Do Krzyworówni schodzimy przez Himskie. Wysoko na wąskim grzbiecie rozległe polany ze skoszoną trawą i przycupnięte w najmniej spodziewanych miejscach, jakby zawieszane nad płynącym 500 m niżej Czarnym Czeremoszem, archaiczne zagrody. Prowadzą do nich tylko wąskie ścieżynki wspinające się mozolnie stromym zboczem. Wszystko na to wskazuje, że są przez kogoś zamieszkiwane. Nasze domysły potwierdzają się wkrótce. Zbiegając w dolinę spotykamy drapiącego się pod górę staruszka, a po chwili doganiamy ubraną w kolorowy strój huculski, idącą do cerkwi babcię.

Cerkiew w Krzyworówni stoi na swoim miejscu, tyle że znacznie pokryta nową blachą. Niestety do środka nie udaje nam się dostać ze względu na brak klucza, ale za to ucinamy sobie ciekawą pogawędkę z mieszkającymi obok cerkwi księżmi. Jeden z nich starszy, chyba na rodzaju emerytury czy raczej dożywocia, pamiętający dobrze czasy przedwojenne stwierdził w pewnej chwili, bez najmniejszego zażenowania, że przed wojną to on był grekokatolikiem, po wojnie zaś kazali mu być prawosławnym, to i jest – przecież to jeden Bóg i jedna wiara. W jego ustach było to takie proste i oczywiste, takie naturalne, że aż mnie zatkało.



Mądrość prostych ludzi potrafi wznieść się ponad każdą, nawet najwymyślniejszą intrygę władzy.

Równie wielką rewelację miał dla nas młodszy ksiądz, będący w Krzyworówni najwyraźniej gościem. Otóż, gdy dowiedział się, że jesteśmy Polakami, pogratulował nam ... nowego i to opozycyjnego premiera! Gdy wyjeżdżaliśmy z Polski Kiszczak dopiero zaczynał formować gabinet, a tu nowy i w dodatku z "Solidarności"! Kto, skąd, w jaki sposób? Zасыpujemy księdza pytaniami. Niestety, wie tylko tyle, że z "Solidarności", nazwiska nie zapamiętał. Ale! Zaraz, która to godzina? Osiemnasta! Poczekajcie! Ksiądz zniknął w głębi domu i po chwili wybiegł z ogromnym, tranzystorowym radiem. Kilka ruchów potencjometrem i ... słuchamy po rosyjsku wiadomości Radia "Swoboda".

W takich właśnie okolicznościach – będących swoistym znakiem czasów, w których żyjemy – dowiedzieliśmy się, że premierem został Tadeusz Mazowiecki.

Czas pożegnać się z Huculszczyzną. Jeszcze tylko przejazd rozklekotanym autobusem dolinami Waratynu i Rybnicy, pośpieszne zwiedzanie Kosowa i do domu. Mamy nadzieję, że to nie ostatnie nasze spotkanie z tymi wspaniałymi górami, chcemy powrócić tu koniecznie za rok.